

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (4)

(FRAGMENTY)



Ponieważ byłem z natury abnegatem, a żona też nie miała jakichś wielkich wymagań materialnych, więc wiązaliśmy jakoś koniec z końcem i starzało na utrzymanie domu i córek (w dodatku Zofia pracowała jako nauczycielka).

Alkohol był wówczas – śmiem twierdzić – doskonałym wynalazkiem, antidotum na szare peerelewskie czasy, szkoda, że najczęściej była to gorzała bardzo miernej jakości, więc na starość niektórzy ciężko pokutują za wybryki młodości.

Pisarz surrealistyczny Romek Wysogład, który, dopóki nie wyjechał do Szwecji, pół życia spędził z narzeczonymi lub kolejnymi żonami w krakowskich knajpach i do pewnego czasu, zdaje się, nie wyobrażał sobie innego życia – „maluje” od paru lat w Internecie cykl „Galeria potworów krakowskich”. Sportretował w nim już ponad 60 postaci, z których połowa to również moi znajomi spotykani na alkoholowych szlakach. Zresztą z samym Romkiem też trochę czasu spędziliśmy w tych samych lokalach, jakkolwiek zawsze przy innych stolikach, co wynikało prawdopodobnie z intuicyjnego odczuwania, że powinniśmy się trzymać od siebie w pewnej odległości. Różniło nas poczucie humoru, może inne podejście do życia wynikające z tego, że on patrzył na mnie z góry jako stu procentowy krakus, nazywając mnie „poetą leśnym”, a ja dziecię natury, wykołysane przez obłoki i przestrzenie, odczuwałem z kolei jakiś rodzaj wyższości i pobłażania wobec mieskiego agrofoba z ciasnego wybetonowanego podwórka.

A może chodziło jeszcze o coś innego, bardziej nieuchwytnego? Dość na tym, że zachowywaliśmy zawsze wobec siebie żartobliwą rezerwę. Ten rodzaj żartobliwej rezerwy znalazł wyraz w mojej karykaturze pióra Romka, bo i ja dostąpiłem wyróżnienia, żeby znaleźć się w jego „galerii potworów”:

Józef Baran jest jedną z najtrudniejszych postaci do opisanego, ponieważ jest niezwykle czuły i przewrażliwiony na swoim punkcie.

Złośliwi opowiadają niepotwierdzone plotki, że wielka kariera, (jeżeli można tak powiedzieć) Józka jako poety rozpoczęła się od dnia, kiedy w Warszawie na ulicy *nomen omen* Krakowskie Przedmieście padł na kolana przed zapomnianym już dzisiaj krytykiem Arturem Sandauerem.

Ale to nieprawda, ponieważ już grubo wcześniej dał

się poznać jako poeta wrażliwy, błyskotliwy, chociaż przywiązany łańcuchem pochodzenia do swoich rodzinnych pejzaży.

Wrośnięty w Kraków od pierwszego roku studiów, współzałożyciel grupy *Tyliz*, przez lata razem z Andrzejem Warzechą i Adamem Ziemianinem tworzyli zabawną gromadkę trzymających się zawsze razem poetów, którzy po skończeniu studiów polonistycznych rozłączyli się tylko na chwilę, co poskutkowało wyładowaniem Barana w »Wieściach«, Warzechy w »Dzienniku Polskim«, a Ziemianina w »Echu Krakowa«. Jak i małżeństwem każdego. Nie z tą samą kobietą.

Nie wiem, czy było to dobre wybory, ponieważ miejsce poety jest w świecie wymyślonym, niesprawdźnym, ulotnym, a nie w redakcjach, gdzie poezja bywa traktowana najwyżej jako nieznośne hobby.

Józek jednak zupełnie nie przejmował się drobnostkami, realizował swój program zostania, obok Sławomira Mrożka najbardziej znanym obywatelem podbocheńskiej wsi Borzęcin, co mu się w zupełności udało.

Kiedyś uwielbiał tańczyć, aż do tego stopnia, iż na sławne w swoim czasie bale „Pod Gruszką” przynosił tenisówki i kiedy tylko zabrzmiała muzyka, nie przejmując się otoczeniem, zdejmował buty, zakładał tenisówki i zupełnie przedkładał parkiet nad jakże ulotne uciechy stołu.

Któregoś dnia jednak doszedł do jakże słusznego wniosku, że należy zobaczyć jak naprawdę wygląda świat. Borzęcin i Kraków to za mało, by na tej kruchej podstawie budować obraz rzeczywistości, skorzystał więc z zaproszenia przyjaciela i teraz regularnie odwiedza USA, dziwiąc się, że tam także znajdują się krowy, uniwersytety, jak i czytelnicy jego poezji”.

W galerii 60 portretów krakowian (wybaczam ci, Romku, twoje uszczypliwości) *znaleźli* się obok życiowych oboboków, rozbitków, niespełnionych artystów ze spalonego teatru, dziwaków i zwyczajnych sępów alkoholowych, także i tuż ze świata nie tylko krakowskiej sztuki. Ot choćby znakomity aktor Jurek Trela, Edward Lubaszenko czy grający różne role w życiu Wiesiek Wójcik (wszyscy trzech nie wylewali za kołnierzy i też bywali w latach 70. i sporadycznie w 80. w SPATIF-ie czy „Pod Gruszką”), poeci i pisarze: Adam Ziemianin, Ryszard Sadaj, Tadeusz Kwiatkowski, Andrzej Warzecha, Bruno Miecugow, Julian Kawalec czy takie osobistości Teatru Starego, jak Jerzy i Lidia Skarżyńscy...

Ale obok uszczypliwości lub zaprawionych ciepłą ironią konterfektów bywalców krakowskich klubów i knajpek pojawia się też u Wysogłada... m.in. portrecik półlitrowki pitej spod stolika, choć przyniesienie jej do lokalu było oficjalnie zabronione:

„W sztuce istnieje nie tak znowu dużo – jakby się wydawało – symboli ściśle związanych z danym czasem, epoką, czy używając jakże patetycznego słowa – wiekiem, przedmiotów nierozzerwalnie kojarzonych z... No właśnie? Z czym? Z nami? Sposobem, w jaki spędzaliśmy wolny czas? Bynajmniej. Półlitrowka pod stołem była ze wszech miar – przynajmniej drugiej połowie XX wieku – sztuką samą w sobie. Czasami nie istniał żaden racjonalny powód, by znajdowała się właśnie pod stołem, ale w niektórych kręgach (nie tylko artystycznych) sam jej widok na stoliku, barku, biurku czy ławce w parku jakby zaprzeczał godności związanej z nalewanym z niej, jakże dla niektórych życiodajnym płynem. Dzisiaj wielu działaczy ruchu lat osiemdziesiątych doszukujących się wszędzie i we wszystkim przejawów walki z komuną, pewnie i stawianie półlitrowki pod stołem zaliczy do jednego ze sposobów zmagania się z Systemem, ale podstolikowa butelka obroni się sama. Pewnie tam było jej najprzyjemniej. Nie na centralnym miejscu, ale zawsze pod ręką (wyraźniej byłoby napisać: pod nogą), ale nie przesadzajmy (...). Dla mnie podstolikowa butelka, permanentny brak wszystkiego, jak i tysiące wierszy napisanych nie tylko przez przyjaciół będą się kojarzyły nieodłącznie z PRL-em...”

Ja dodałbym, że „podstoliczna” (tak chyba lepiej brzmi) była w czasach naszej młodości

cudownym wehikułem przenoszącym nas z krainy socjalistycznej szarości do krain nieważkich: do owych surrealistycznych Nibylandii, gdzie wszystko było możliwe: największe głupstwa i najbardziej szalone pomysły, o czym opowiada mój wiersz z tamtych lat *Ballada alkoholowa*:

Ballada alkoholowa

A wódka w nich to śpiewa to kła
i wódeczka wtóruje uha
i przytupuje piwo
szalone w ich głowach szaleją zegary
i czasy im się mieszają i pory i miary
to ciemność ich oświeca
to jasność że oko wykol

wtem
zapala się w mózgu
milion świateł
to słońce
się zbliża
z zawrotnością prędkością
i oni ku niemu
na oślep rosną
i już-już nie miał ABSOLUT w garść ucapili
lecz raptem się roztopili
ikarowie-pijackowie

potem długo wyraźniej
wywoływani przez świt z zamazanych negatywów

powracają do swych skór
ciągnąc za sobą przez zasieki mgieł
przez siedem rzek i gór
kikuty przepalonych skrzydeł

Romek niektórych portretowanych przez siebie znajomych maluje ciepło, o innych pisze cierpko. Postać mojego przyjaciela poety Adama Ziemianina, ongiś także tegiego birbanta, jest pokazana ciepło. Oczywiście przy malowaniu tak barwnej postaci nie mogło się obyć bez anegdoty, która w swoim czasie rozśmieszała znajomych. Cóż, wtedy anegdota tworzyło się na poczekaniu; ludzie po prostu bardziej się interesowali sobą, a humor, żart – były rodzajem samoobrony przed idiotyzmami propagandowego języka, na co wybitnym dowodem artystycznym – kultowe dziś komedie Barei.

„Okolo roku 1985, kiedy to miałem przyjemność zamieszkać w sławnej kiedyś kamienicy *Byłych Pisarzy* mieszczącej się przy ulicy Krupniczej 22, któregoś wieczoru jakoś udało mi się opuścić dogorywający przybytek pod nazwą SPATIF, mniej więcej w tym samym czasie, co sławny przyjaciel i sąsiad Adam Ziemianin.

W tym akurat przypadku ironia losu nazywała się *Biuro Wystaw Artystycznych*, mieszczące się przy Planach, na nieszczęście Adama – w połowie drogi pomiędzy SPATIF-em a Krupniczą, gdzie mieszkał.

Idąc zygżakiem kilka kroków za Adamem, nagle z przerażeniem stwierdziłem, iż oto poeta w najlepsze dobija się do zakratowanych drzwi BWA, ponieważ wydało mu się, że dotarł do swojego hotelu w jakimś obcym mieście, gdzie był na spotkaniu autorskim. Proszę sobie wyobrazić: ciemny Kraków, godzina duchów – pierwsza czy druga po północy, ciężkie solidne kowane odrzwia muzeum i jego rozpaczliwe dobijania się do środka: „Proszę otworzyć! To ja! To ja!”

Pomyślałem sobie, że jednak poeta trochę za szybko pragnie zmuzealnic i postanowiłem go odwiedzić od tej myśli.

cdn.